# NOWOŚCI ILLUSTROWANE

**Prenumerata w Polsce:** Kwartalnie K 16·30, Mk 10·90. Półrocznie K 32·60, Mk 21·80. Rocznie K 65·20, Mk 43·60. **W Austryi:** Kwartalnie K 16·30. Półrocznie K 32·60. Rocznie K 65·20. **W Niemczech:** Kwartalnie Mk 10·90. Półrocznie Mk 21·80. Rocznie Mk 43·60 z przesyłką pocztową.

**Zmiana adresu 60 halerzy.**

**Ceny ogłoszeń:** za wiersz petitowy jednoszpaltowy na ostatniej stronie 1 kor., na miejscu specyalnie zastrzeżonem kor. 1·40, za wiersz nonparellowy jednoszpaltowy 2 kor., za wiersz petitowy w części reklamowej 5 kor.

**Wychodzi każdej soboty.**

**REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.**
**ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).**
**Telefon Nr. 479.**

**Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.**

**Wyłączno zastępstwo na Warszawę i Królestwo Polskie: Zygmunt Bereda, Warszawa, Marszałkowska 119. Łódź, Piotrkowska 62.**

**Numer pojedynczy 1 kor. 30 hal. — 88 pf.**

**Rok XVI.** | **Kraków, 19 kwietnia 1919.** | **Nr. 16**


# Dzwony Zmartwychwstania.



# Dzwony Zmartwychwstania.

Z niepokaźnych i maluchnych iskierek życia wyrosła wielka, pełna radości, tysiącem szeptów i modlitw wołająca... Wiosna. Wyszła gdzieś z szaro-zielonej kurniawy świtu, przesłaniającego ziemię, nad którą rozsączają się pierwsze zorze drżąc na wschodzie od sennych pyłów, wśród jedwabnego posucia mgieł. Wokoło chaos nieuchwytnych barw, zarysów i kształtów, tylko gdzieniegdzie szklisty pas drogi. Nagle niebo



**Lloyd George i my:** Premier angielski przemawia na posiedzeniu konferencyi.

na wschodzie zaczyna się od ziemi oddzielać wązkim sznurem opali i... za chwilę opadło na łąki i oparzeliska snopem światła, gdy w dali słychać szmer coraz bliższy, coraz bliższy spokojny głos dzwonu... Srebrne tony, jak ptaszęcy szept wpadają w las, w kieli·hy kwiatów, kołyszą się na białych koronach, że niewiadomo, czy to nie kielichy dzwonią.



**Kadry akademickie pod Lwowem:** Grupa załogi pancerki „Smok"

Alleluja!... Alleluja... poniosą od siebie do drugich stare jodły i olchy i dęby i cały bór Alleluja chórem powtarzają ptaki... Alleluja spłynęła pieśń po miękkich mgłach... Alleluja słychać wszędzie... ale po chwili wszystko pokrywa siatka nowych, młodych myśli... W wolnej Polsce... To, o czem tyle granitowych wysiłków marzyło, tyle twardych i tytanicznych trudów bez końca...

Z gruzów wojny powstaliśmy wielkim narodem — wołają dzwony, ale równocześnie zjawia się jakiś zgrzyt, dziwna dysharmonia — przecie wszystko w porządku... Nic, to tylko dzwony grają.

Nastał trzeci dzień wyzwolenia, o którym śnił Mickiewicz, kiedy w Litanii Pielgrzymstwa modlił się „O wojnę powszechną za Wolność ludów". „Bo naród polski nie umarł — mówiono za nim — i ciało jego leży w grobie, a dusza jego zstąpiła z ziemi, to jest z życia publicznego do otchłani, to jest z życia domowego ludów cierpiących niewolę w kraju i poza krajem, aby widzieć cierpienie ich. Ale trzeciego dnia dusza wróci do ciała. I przeszło już dni dwa: jeden dzień zeszedł z pierwszem wzięciem Warszawy (7. listopada 1794 roku), a drugi dzień zeszedł z drugiem wzięciem Warszawy (7. kwietnia 1831 roku). A trzeci dzień wnijdzie, ale nie



**Męczeński Lwów:** Placówka polska.



**Kadry akademickie pod Lwowem:** Pociąg pancerny na pozycyi.

zajdzie". I zeszedł już, ale choć całą piersią chcemy się złączyć z gwarem potoków, z mokrą, wiośnianą zielenią przyrody z duszy rwie się tęsknota i smutek... tęsknota za lepszą przyszłością, a smutek zrodzony na kanwie bytowania dzisiejszej chwili. I dziwna rzecz — kiedy dotychczas pragnęliśmy tylko świtu trzeciego dnia, teraz w dzień podniesienia z popiołów i gruzów wolnej Ojczyzny, spostrzegamy, że tak jeszcze nikłą jest ozimina ruń nowo wzeszłego posiewu że jeszcze wszystko dojrzeć nie może, tak jeszcze.. I teraz, stawiając nowe postulaty przyszłej wolności społecznej, nie umiemy uchwycić wszystkich nici, związać je w złoty węzeł jednego celu dla Ojczyzny; dlatego mówi się o radykalnych celach partyjnych, o koniecznych, nieuniknionych wytycznych pewnych ugrupowań, ale nie mówi się o Polsce... Co tam cele osobiste, choćby największe idee stronnictw? zapominamy ciągle, że twarda wola, to wykładnik wszelkiej dyskusyi, zdolny stworzyć bujny łan myśli twórczych, mających siłę, aby pchnąć świat na nowe tory nawet drogą kompromisu. O jedności narodowej już się dzisiaj nie mówi no i o jednolitym całokształcie działania, ale niestety, dziś, w chwili przywiośnianych wstawań własnego państwa mówi się wiele, co więcej, niemal wyłącznie o celach osobistych... Dla Ojczyzny — stało się niepotrzebnym strzępem słów. Czy więc można ze spokojem patrzeć w ten trzeci dzień? A jednak w dosycie tej wiosny mieści się przyszłość. Dzisiaj musimy sobie jasno zdać sprawę z tego, że przyszłość już zniknęła, że karta dziejów odwróciła się a my przeszliśmy na drugi brzeg rzeki, musimy obudzić się z koła czarownej pieśni Chochoła, bo teraz pieśni nie czas słuchać, ale trzeba podnieść złoty róg w górę, w górę i kazać dzwonom wołać, że „Polska to jest wielka rzecz", jak mówił Wyspiański. By dojść jednak do uświadomienia sobie tej myśli na granitowych podstawach, trzeba się wziąść z mocarnym wysiłkiem do „przebudowy" własnej duszy, do zwartej pracy organicznej nad stworzeniem mickiewiczowskiego „wiecznego człowieka". Nie łudźmy się, że my mamy trzeźwo pojętą konstrukcyę naszych wierzeń patryotycznych, nie łudźmy się. Wypadki dnia wczorajszego i dzisiejszego wskazują, że tak nie jest, że my nie jesteśmy ludźmi, którzyby mieli „żarliwość apostołów, poświęcenie się męczenników, prostotę mnichów, śmiałość rewolucyonistów 93 go" (Mickiewicz Lit. słow. t. IV.) Nie, historya kłamała, i myśmy kłamali sami przed sobą.

Choć gorzkie to słowa, ale każdy przyzna, że to nie jad pesymizmu, tylko konieczność, trzeba wierzyć, że to zdradliwa konieczność naszej niewoli. Dziś, kiedy grają nad nami dzwony musimy słuchać tych słów i musimy przyjąć jako cel przyszłości przekonania siebie i drugich, że tak nie jest i nie będzie. I wtedy spojrzymy bez pochylenia głowy w światło własnej duszy, niegasnące jak to słońce. Alleluja powtarzajmy... Zmartwychwstanie na nowe



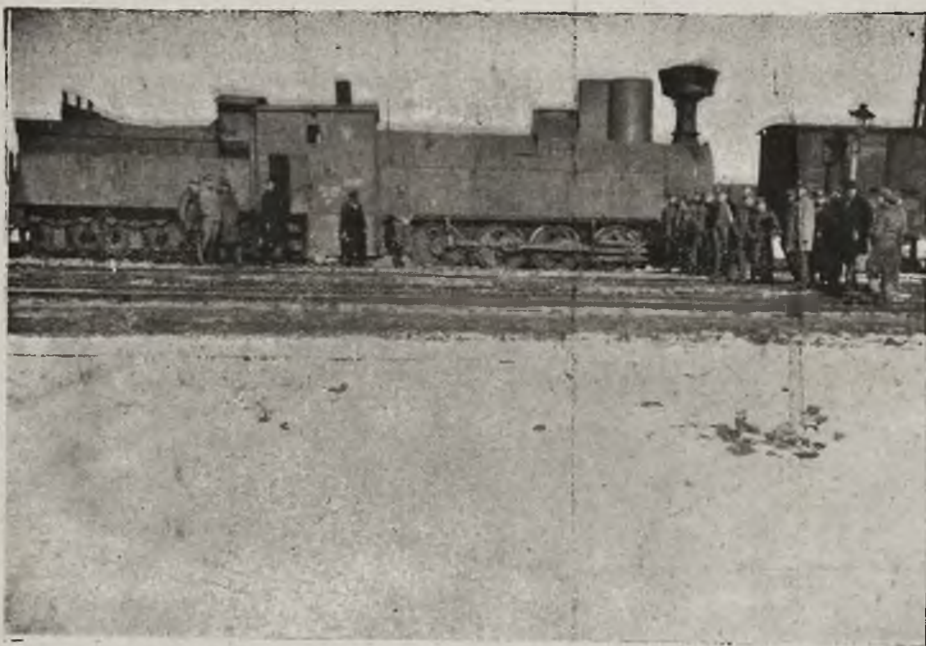
**Amunicya dla Polski:** Dwaj oficerowie amerykańscy, którzy przywieźli pierwszy pociąg amunicyi.

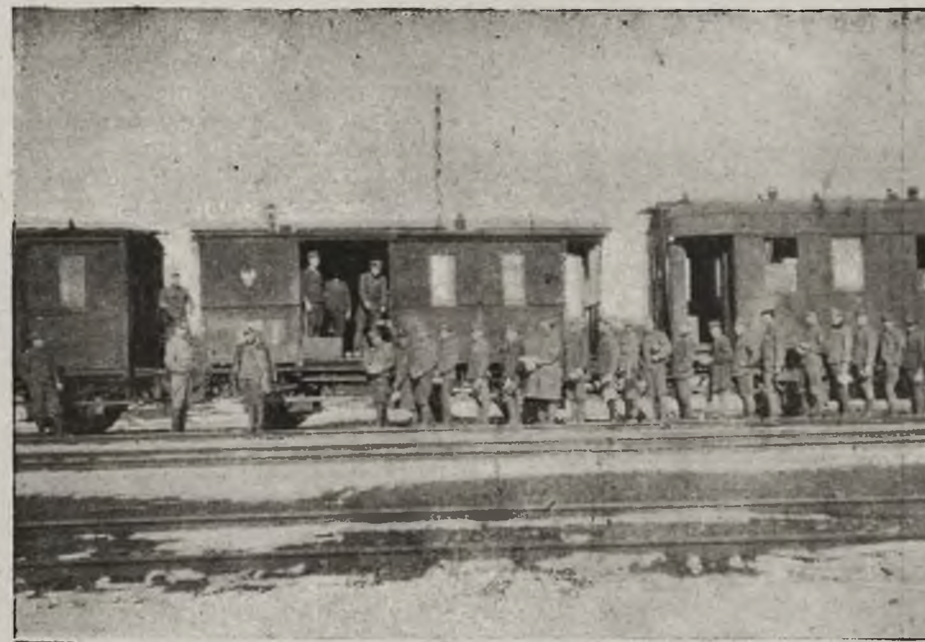


**Kadry akademickie pod Lwowem:** We wnętrzu pancerki.



**Żywy pomnik dla Polski:** Grupa uczestników sadzenia drzewek pod Kopcem Kościuszki w Krakowie.





Lokomotywa pancerki „Smok“. **Kadry akademickie pod Lwowem:** Wydawanie obiadu załodze pancerki „Smok“.

życie, na którego niciach wyrzynają się zarysy zdrowych postulatów, nie narzuconych zbiegiem nieuzasadnionych okoliczności, ale stworzonych dobrą wolą popartą małą słów, a wielą czynów. I wtedy dopiero powiemy, że to dzisiaj, co się sączy złem i gorzkim blaskiem jest tylko okresem przejścia, a „pomiędzy przeszłością, która znikła bezpowrotnie, a przyszłością nienadeszłą jeszcze ma się za mieszkanie rozpadłe ruiny, dokąd deszcz, wicher i śnieg wciskają się ze wszystkich stron“ — jak pisał Lammenais.

I to niech będą życzenia z dniem Zmartwychwstania, bo tylko w ich perspektywie ze spokojem będziemy patrzeć na wielkie jutro... A wtedy i dzień minie w radości i gdy wszystko pocznie przycichać, sennieć, iść ku spoczynkowi ciszy wieczornych godzin, gdy mrok okryje ziemię puchem miękkiej gęstwiny, powiemy razem z usypiającą przyrodą... Alleluja...



**Męczeński Lwów:** Zabite pociskami konie na ulicach Lwowa. (Fot. M. Münz)



**Francuzi w obronie Polski:** Minister Pichon, L. Burgeois i marszałek Foch.



**Żywy pomnik dla Polski:** Młodzież krakowska sadzi drzewka w alei Tadeusza Kościuszki.

**Adam Wiaryga-Minieski.**

# JAK KRUKI.

Powieść z dni ostatnich.

36

Wanda chciała zaprotestować, upomnieć się o swój funt owoców, ale nie mogła głosu wydobyć. Czuła, że tamta gotowa jest do nizkiej, wstrętnej walki, że to nie o koszyk truskawek chodzi.

Blada bardzo, z zaciśniętemi ustami odwróciła się w milczeniu aby odejść. Kilka kobiet, które były świadkami tej sceny, wyrażało głośno swoje oburzenie.

— Dlaczego jej panienka ustąpiła, tej złodziejskiej córce?! Ze jej ojciec spyrki i mięso Szwabom wywozi, a nam zdechłą koninę sprzedaje, to ona się będzie rozpychać!...

— Patrzcie ją! Wielka pani!... Milionerka!... Pamiętają jeszcze ludzie, jak boso i w łatanej kiecce chodziła!

— Żeby tak to na mnie padło, dałabym jej! Ten wielgaśny kapelusz z kłaków bym zdarła, żeby się nie pysznila, flondra jedna!...

— Z naszej krwawej krzywdy te stroje!

— Z przed nosa komu porwie, cholera pierońska, świniara zatracona!

Nastrój stawał się tak wrogi dla Burczykiewiczówny, że przestraszona skinęła na dorożkę i wsiadła, żegnana gniewnym pomrukiem i „soczystemi" obelgami.

Wanda nie obserwowała tej porażki swojej nieprzyjaciółki. W innej stronie rynku szukała znowu truskawek. Nie znalazła wszakże i zmartwiona, z posępnie zwieszoną głową i próżnemi rękoma wracała do domu.

Na myśl o rozczarowaniu chorego ojca przenikała ją taka żałość, że gdyby nie panowanie nad sobą, płakałaby jak dziecko.

— Tatusik... mój biedny, dobry, jedyny tatusik...

Nagle posłyszała za sobą szybkie kroki i przyspieszony oddech człowieka, który snać dłuższą chwilę nie szedł, ale biegł:

— Panno Wando...

Michał Ruda stał przy niej i podawał torebkę pełną bardzo ładnych truskawek. Serdeczne, modre oczy świeciły zadowoleniem.

— Ledwiem panią dogonił... I ja chodziłem po rynku, szukając truskawek. No, udało mi się. Prawda, że wcale niezgorsze? Będą panu profesorowi smakowały...

Wanda jedną ręką ujęła torebkę, a drugą wyciągnęła ku Rudzie, porwana prądem wdzięczności, wzruszona głęboko tą jego troskliwą dobrocią.

— Jaki pan dobry!... Boże! Jaki pan dobry!...

— No, wie pani, że u pani nie trudno zasłużyć na nazwę dobrego! Wystarczy wytargować u przekupki kilo truskawek — zażartował, nie odrywając od niej zachwyconego wzroku.

— Nie! nie! już ja wiem, co mówię!...

Przesunęła ręką po czole. Ach! Odpędzić te nieznośne, dręczące porównania, które nawiedzają mózg nieproszone, uparte. A Kazik jakby postąpił? Dlaczego on... Nie myśleć o tem! Boże, nie myśleć!...

— Mogę panią odprowadzić?

— Ależ rozumie się. Proszę.

— Pójdziemy przez planty? Czy dobrze?

— Dobrze.

Zielone, kwitnące plantacye dyszały majem, ciepłym, wonnym, rozkosznym majem, który rzucał różowe blaski na twarze młodych dziewcząt, rozgrzewał zastygłe serca staruszków, rozpromieniał buzie dziecięce, a chorym i nieszczęśliwym śpiewał, że wiosna wraca, że szczęście wrócić może.

Jakiś żołnierz o woskowej twarzy, snać ciężko chory, ułożony wygodnie na ławce, wdychał powietrze, przesycone silną wonią bzów i uśmiechał się bezkrwistemi wargami.

— Biedak... Temu już się niewiele należy — szeptali przechodnie — to jego ostatni maj.

Był to obraz, jakby wyjęty z wiersza poety:

„Za oknem się rozszalał maj,
A po szpitalach mrą żołnierze..."

Koło chorego żołnierza przesunęła się młoda, jaśniejąca szczęściem, młodością, urodą para. On wysmukły brunet z czarnemi oczyma, w których paliła się radość życia, ona wiotka, eteryczna blondynka w białej sukience, przypominająca wdzięczny, delikatny kwiat konwalii. Panienka trzymała w ręce dużą gałązkę liliowego bzu i filuternie uśmiechnięta muskała się nią po twarzy, spoglądając poprzez kwiaty na swego towarzysza wielkiemi źrenicami, które miały barwę leśnych fijołków i wyraz ogromnego, naiwnego rozkochania. Przez te oczy patrzyło serce, budzące się po raz pierwszy w blaskach złotego słońca wiosennego, w cudnym miesiącu maju.

Idylliczny ten obrazek odbijał się jaskrawym tragicznym kontrastem od woskowej twarzy żołnierza, której już nawet litośne słońce nie mogło przywrócić świeżych barw zdrowia.

— Wieczny taniec miłości i śmierci — szepnął Ruda.

— Wokół złotego cielca — odparła Wanda, wskazując wzrokiem jakąś grubą damę, opiętą jedwabiami, obwieszoną bryljantami, powiewającą dumnie kosztownymi „rajerami" u najmodniejszego kapelusza.

Dama wtłoczyła się pomiędzy ławkę, na której leżał śmiertelnie chory żołnierz, a młodą, rozkochaną parę i swoją ciężką, strojną postacią zdawała się przytłaczać i tego, co szedł ku śmierci i tych, co rwali się jeszcze do życia.

— Napewno jakaś „paskarzowa" — zauważył Ruda.

— Tak. Tylko tacy mają dziś prawa do życia, do wiosny, do szczęścia. Oni panują nad światem, który zwaryował i broczy we krwi.

Michał Ruda z pewnem zdziwieniem spojrzał na Wandę. Nie przywykł do tego, by słyszeć z jej ust poglądy tak pełne bezwzględnej goryczy pesymizmu. Zrozumiał, patrząc na jej śliczne rysy, zaostrzone ponurym wyrazem, postarzałe jakieś, że musiało ją świeżo spotkać coś bardzo przykrego od tych co „panują nad światem".

Z gorącem współczuciem patrzył na tę twarz pomizerniałą, pobladłą, w te oczy promienne, zasnute teraz posępną chmurą smutku, ze współczuciem równie wielkiem, jak jego miłość.

Och, gdyby miał prawo dopomagać jej, opiekować się nią, usuwać kamienie z drogi.

— Panno Wando... — zaczął.

Po twarzy Wandy przebiegł błysk trwogi. Przeczuła co chce jej powiedzieć i lękała się tego momentu. On taki dobry, taki troskliwy, żal Wandzie zasmucić go, odebrać nadzieję, odebrać nadzieję, a jednak trzeba. Szybko posunęła się kilka kroków naprzód.

— Widzi pan tego młodzieńca w jasnem ubraniu? Doprawdy, z daleka wydawało mi się, że to mój narzeczony!

Jasne oczy Rudy pociemniały i zmieniły wyraz. Zamigotały w nich zimne, ostre błyski stali.

— O kim pani mówi? Czy o panu Kazimierzu Rawiczu?

— Oczywiście! Jakże pan może pytać!

— No, to ja mógłbym był panią odrazu poinformować, że to nie on, bo widziałem go przed chwilą jak jechał w powozie z panną Burczykiewiczówną. Czy pani zna pannę Burczykiewiczównę i jej godnego papę?

Pożałował odrazu swej bezwzględności, bo Wanda zbladła tak mocno, iż zdawało się, że zemdleje.

— Panno Wando, na Boga!... Co pani?... Słabo?...

— Nie... nie... nic już... Tak, owszem, znam pannę Burczykiewiczównę. No, taka znów bardzo interesująca to ona nie jest... — usiłowała się uśmiechnąć blademi ustami.

— Pan Rawicz — nie powiedziała już „mój narzeczony" — bywa u Burczykiewiczów bo...

Napróżno szukała w myśli jakiegoś godziwego powodu, dla któregoby Kazimierz Rawicz mógł bywać u Burczykiewiczów. Wreszcie czuła, że cokolwiek powie, to Rudy jej nie uwierzy... Bo on wie...

Nie, nie! On nic wiedzieć nie może! Bo to nieprawda, co ludzie mówią! Przecież Kazimierz mimo wszystko jest jej narzeczonym, nie zerwał z nią.

Ruda w milczeniu patrzył na nią długą chwilę. Wargi pod płowym wąsem drgały mu nerwowo.

— Podlec! — syknął przez zęby.

— Co? Co pan mówi?! O kim?!...

— Ach! Nic. Popatrzyłem na tego spekulanta, który nas mija. Dorobił się już dziesięciu kamienic na ogładzaniu kraju. No i wyrwało mi się to określenie, nie wybredne co prawda, ale chyba jeszcze zbyt łagodne.

— A tak... Pan myślał o nim?

— O nim i jeszcze o innych spekulantach, o innych krukach.

Wanda zwiesiła głowę nizko na piersi.

W tej chwili podbiegł ku nim mały, umorusany chłopak z bukiecikami fiołków w brudnej piąstce.

— Panie łaskawy, kup pan dla tej pani fiołki! O, powąchaj pan jak pachną.

Ruda wziął jeden bukiecik i podał go Wandzie.

— Panno Wando! Choć odrobinę wiosny...

Machinalnie wzięła fiołki, ale palce jej tak drżały, że bukiecik wypadł z nich na ziemię. Natychmiast stratowały go ciężkie buty żołnierskie.

— Och! Biedne fiołki.

— Nie mają widać szczęścia moje kwiaty — zauważył Ruda z łagodnym, smutnym uśmiechem, który miał w sobie coś nieskończenie bolesnego.

— — — — — — — — — — — — — — —

Panna Julia Ożarska podniosła ku Milewiczowi swoje wyblakłe, błękitne oczy z wyrazem błogiego rozmarzenia. Kremowy kapelusz z czerwonym kwiatem i jasna bluzka nie dodawały jej wprawdzie dużo wdzięku ni urody, odmładzały ją jednak nieco.

— Wie pan, com wymyśliła?

Malarz uśmiechnął się.

— Pewnie coś bardzo praktycznego.

— Ma się rozumieć! Czy pan nie uważa, że te obiady w głodnej kuchni stają się z każdym dniem gorsze?

— Ach, ja to już dawno zauważyłem — westchnął Milewicz — jednakowoż jadać w restauracyi lub pensyonacie to zbytek.

— Któż mówi o pensyonacie czy restauracyi. Ja mam inny projekt.

— Słucham z ciekawością, bo z góry wiem, że jest doskonały. Pani jest moim dobrym duchem!... Gdyby nie pani, doprawdy nie wiem, jakbym był przetrwał te ciężkie zimowe miesiące.

Twarz Julii rozsłoneczniła się, jakby na nią padły wszystkie blaski i promienie wiosny.

— Trzeba więc radzić sobie i dalej. A zatem obiady będziemy jadali w domu!

— Jakto!...

— No, bardzo poprostu. Zmieniam mieszkanie, wynajęłam pokój z kuchnią i będę sama gotowała obiady. Obliczyłam, że to wypadnie równie tanio, a napewno zjemy obficiej i smaczniej!...

— Bezwątpienia, ale kiedyż pani znajdzie przy swoich zajęciach czas na to gotowanie?

— Wszystko już przewidziałam. Przychodzę do domu o dwunastej. Za dwie godziny spitraszę obiadek. Zjemy trochę później, ale za to pożywniej.

— I nie przeciąży to pani?

— Bynajmniej. Pan koniecznie potrzebuje lepszego trochę jedzenia.

— Pani jest genialnie praktyczna, panno Julio. I nieskończenie dobra — dodał ciszej — doprawdy nie wiem, jak mam pani podziękować.

— Nie ma pan za co dziękować. Ja tak chętnie...

— Dobra, złota, kochana panna Julia.

Jak rajska pieśń, jak hymn szczęścia zadźwięczały jej w uszach te słowa, upadły na samo dno serca niby perły drogocenne, niby kwiaty rozkoszne o aksamitnych płatkach i upajającej woni. Panowała nad sobą, aby nie zapłakać łzami radości. On jest jej wdzięczny, lubi ją, może... może więcej niż lubi. Przecież przepędza z nią razem każdy wolny wieczór, zwierza się ze swych pragnień, trosk, obaw, pozwala opiekować się sobą, dogadzać sobie.

Niedawno powiedział, że nikt tak nie umie działać kojąco na niego jak ona, że gdy jest smutny, zły, zgryziony ona jedna zdoła mu przywrócić trochę dobrego humoru, pogody, chęci do życia. Rozumie go tak dobrze, nigdy nie rozdrażni nie rozgniewa, jest uosobioną dobrocią, słodyczą, troskliwością.

— Pani jest poprostu aniołem, panno Julo — oświadczył.

Jak to cudnie brzmi „Julo". Gdyby tak odrzucić jeszcze tę „pannę" to... Ale cicho, na wszystko przyjdzie czas. To mieszkanko, które wynajęła teraz, stanie się może świątynią ich szczęścia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Polacy w Rumunii.

Rozsypani po armiach zaborców, musieliśmy razem z niemi dzielić konsekwencye nieuniknionego wyniku wojny.

Kiedy więc dumne wojska Mackensena wskutek wczesnej zimy i obfitych śniegów krok za krokiem w czasie odwrotu, zostawiały część swoich żołnierzy w rękach postępujących za niemi wojsk rumuńskich — znalazła się w obozie internowanych w Braszowie znaczna ilość Polaków. Wkrótce jednak dzięki pełnym poświęcenia staraniom p. J. Malisza, uprzejmości komendanta obozu, który swego czasu będąc kilka lat w Warszawie odnosił się do nas ze szczególną sympatyą, tudzież przychylności naczelnej komendy rumuńskiej — umieszczono wszystkich Polaków w osobnym budynku i przydzielono kuchnię, pozostawiając zupełną swobodę, aż do chwili odtransportowania do Ojczyzny.

Fakt ten wskazuje na coraz silniej zacieśniające się węzły przyjaźni między Polską a Rumunią.



**Polacy w Rumunii**: Grupa Polaków, internowanych w Brasso w Rumunii

## Męczeński Lwów.

Miesiące całe już trwa walka o posiadanie Lwowa. Miasto bohatersko broni się przed najazdem Ukraińców, rzucając w szeregi walczących nie tylko wszystkich mężczyzn, ale kobiety i dzieci. Obrona Lwowa to pospolite ruszenie wszystkich jego mieszkańców. Warunki, w jakich Lwów żyje stają się z dnia na dzień coraz cięższe i trudniejsze. Głód i nędza zaczyna zaglądać do wszystkich rodzin, a uporczywe ostrzeliwanie miasta przez nieprzyjaciela pociaga za sobą coraz nowe krwawe ofiary. Bywają dnie, w których na miasto pada po kilkaset pocisków. „Plon" takiego dnia bywa bardzo „obfity", tak na przykład przed kilku dniami jeden pocisk, przebiwszy dach i sufit, wybuchł w pokoju podurzędnika pocztowego, Rusina, Teodora Serkesa, zabijając na miejscu żonę jego, córkę zaś seminarzystkę, oraz 12 letniego syna zraniły odłamki pocisku ciężko. Inny pocisk padł do mieszkania Julii Sąsiadowej. W mieszkaniu wówczas znajdowało się dziesięć osób i te zostały zatrute gazem, który napełnił mieszkanie. Taki sam pocisk wpadł do mieszkania kolejarzy Franciszka Pikora i Bazylego Oszkora. W innej znów realności pocisk przebił mur i wpadł do pokoju. Połamał żelazne łóżko, a leżący na niem Abraham Wohlmuh znalazł się w niewiadomy mu sposób pod pościelą i resztkami pogruchotanego łóżka. Na krzyk rodziny odzyskał przytomność i wydostał się z pod „betów", nie wierząc sobie, że żyje i jest zupełnie zdrów! Inny wreszcie pocisk wpadł do stajni, znajdującej się w śródmieściu i zabił dwa konie. W nocy ostrzeliwanie Lwowa było jeszcze silniejsze. Ogień artyleryi Ukraińców skierował się tej nocy szczególnie na dzielnicę szóstą. Na ulicy Listopada, Potockiego i sąsiednich wiele budynków zostało uszkodzonych; kilkadziesiąt osób padło ofiarą barbarzyńskiego ostrzeliwania. Na niektórych ulicach tej dzielnicy niema ani jednego domu nieuszkodzonego.

W czasie, gdy największy ruch jest na ulicach miasta, artylerya ukraińska rzuca rozmyślnie strzały na śródmieście, by coraz nowemi ofiarami w ludności cywilnej zasłużyć na miano bohaterów. Wynik bohaterstwa jest zawsze pewnym. O tem wiedzą „heroje" ukraińscy i dlatego coraz częściej mamy spo-



**Męczeński Lwów**: Ukraińska stacya opatrunkowa, która była urządzona w ratuszu lwowskim.



**Męczeński Lwów**: Komendant 1 go pułku strzelców lwowskich Pomian Cieński.



**Męczeński Lwów**: Cmentarz poległych na Politechnice.





Atak polski na koszary Jabłonowskich od strony parku Stryjskiego. Męczeński Lwów: Okopy na „Górze św. Jacka".

sobność podziwiać „dzielność" ukraińskiego wojska, które w niczem nie ustępuje bohaterstwu Hunów. Przed kilku dniami nagle padły na śródmieście w różnych miejscach trzy pociski jeden po drugim,



Męczeński Lwów: Uszkodzenia kościoła św. Jerzego.

tak, że ludzie nie mieli czasu zoryentować się i zastosować do sytuacyi. Wynikiem tego ostrzeliwania było kilka trupów i kilkunastu rannych.

Tegoż samego dnia ostrzeliwała artylerya ukraińska także Zakład dla obłąkanych w Kulparkowie. W obrębie Zakładu padło kilkadziesiąt pocisków wydzielających zatrute gazy. Jeden taki pocisk, przebiwszy dach i sufit, wpadł w budynku administracyjnym do sali konferencyjnej lekarzy. Inne pociski padały w sady i ogrody zakładowe, niszcząc drzewa owocowe i parkowe.

Dzień przedtem wpadł do jednego z mieszkań pocisk, który wybuchł w mieszkaniu, zniszczył zupełnie urządzenie i na miejscu zabił Tadeusza Kesslera, a siostrę jego Janinę, ciężko ranił w brzuch i nogi. Nadto dnia tego zraniły pociski ukraińskie: Jakóba Weissberga, Czesława Majewskiego i p. D. Franklową, której złamały trzy żebra.

W mieście przebywają stale różne misye koalicyjne, które ciągle jeszcze badają stosunki.

W nocy z 5. na 6 bieżącego miesiąca przyjechała do Lwowa amerykańska misya wojskowo dyplomatyczna, w której skład wchodzą: pułk. Elliot Cassiarce i kap. Basset, obaj z ramienia Najwyższej Rady wojennej, zaś w nocy z 6. na 7 kwietnia zawitał do nas pułkownik sztabu generalnego francuskiego, de Renty, doskonały znawca stosunków wschodnich. Prócz wymienionych bawi we Lwowie kapitan sztabu gener. angielskiego W. H. F. Maule.

Dnia 7. bieżącego miesięca zwiedził kapitan sztabu generalnego angielskiego Maule w towarzystwie przydzielonego mu z ramienia wojskowych władz polskich por. dr. Skowrońskiego, odcinek sichowski frontu lwowskiego, oprowadzany przez oficerów W. P. z komendantem odcinka na czele. Kapitan Maule doszedł do najbardziej wysuniętych placówek, oglądał okopy, stanowiska i rozlokowanie piechoty oraz karabinów maszynowych, informował się o artyleryi i o różne inne szczegóły, dotyczące tego odcinka. Zastał na odcinku przeważnie starych, doświadczonych legionistów, wśród których znajdował się także jeden żołnierz, władający językiem angielskim. Z tym wdał się kapitan Maule w rozmowę o ostatnich wypadkach bojowych na odcinku i o trybie życia załogi na odcinku. Gość angielski bardzo był zadowolony z przeglądu odcinka i wrażeń doznanych podczas pobytu na nim.

W takich warunkach pędzą swój żywot mieszkańcy męczeńskiego miasta, czekając ocalenia ze strony Rzeczypospolitej polskiej. Ocalenie to przyjść musi, i to jak najrychlej, aby wreszcie mógł odetchnąć spustoszony Lwów, a Polska dać nagrodę dzielnym jego obrońcom.



Męczeński Lwów: Uszkodzenia katedry łacińskiej.

Podajemy szereg illustracyi obrazujących krwawe walki, jakie w mieście i jego okolicy się rozgrywają.





Narożnik poczty głównej zniszczony w czasie walk. Męczeński Lwów: Groby poległych na placu Bema.

**Leon Daudet.**

# Serce i nieobecność.

**(Z francuskiego tłom. Marya Jadwiga Migowa).**

10

Janka i Franciszek to był skrupuł najboleśniejszy, ale ten przy dobrej woli dało się złagodzić jeżeli nie usunąć zupełnie. Przecież młodzi nie dowiedzą się, a gdyby... toż i oni kochają...

Nie! nie! ona Klaudyusza utracić nie może.

– – – – – – – – – – – – – – – –

Park w Butteschaumont jest to dziwactwo romantyczne, rzucone w środek ludnej, a smutnej dzielnicy Paryża. Jego omszone skały, bluszczem opleciony pawilon, most wiszący, jeziorko o ciemnej wodzie – przypominają marzenie ludzi rozczytujących się w dziełach Walter Scotta i Wiktora Hugo. W dni powszednie jest tutaj prawie zupełnie pusto. Kilku apaszów ze swemi towarzyszkami rozsiada się na ławkach. Nie widać wokół żadnego stróża parkowego ani też policyanta.

Klaudyusz jako młody student miał niegdyś w tym parku „rendez vous" z pewną ładniutką praczka i zachował o tej schadzce bardzo miłe wspomnienie. Tymrazem jednak pozostawał pod silnem wrażeniem zupełnie innego rodzaju.

Doktor przybył pierwszy na schadzkę, ale Marion także nie dała długo czekać na siebie. Ubrana była zupełnie czarno co podnosiło jeszcze jej jasny koloryt blondynki.

– Dzień dobry, Klaudyuszu.

– Dzień dobry, ukochana.

– Boję się. Chodźmy, zdaje mi się, że nas obserwują.

Było to złudzenie. Na ławkach widniały w różnych punktach trzy tylko postacie ludzkie ze zdecydowanemi minami przyszłych samobójców. Ludzie ci nie zwracali na panią Darmelle i jej towarzysza najlżejszej uwagi.

Klaudyusz ujął Marion pod ramię i szeptał jej żarem dyszące słowa. Już dawno marzył o tem, aby jej wypowiedzieć wszystko, co miał w duszy, ale dotychczas nigdy nie mógł zdobyć się na odwagę. Refrenem jego wyznań było uparte twierdzenie:

– Musimy należeć do siebie!

– Jeszcze nie teraz.

– Na cóż czekać mamy?

– Bo to byłoby bardzo złe.

– Czyż jutro lub pojutrze lub za miesiąc zmieni się coś?

– Niestety nic.

– A zatem?

– Miej litość nademną!

Miała w oczach błagalny wyraz. Tak patrzy sarna na czyhającego na nią myśliwca.

Klaudyusz przycisnął ramię drżącej jak liść kobiety, mocniej do swego boku.

– Puść mnie!..

Nagle stanął przed nimi, jakby wyrosły z pod ziemi, jakiś zaślipiony o czerwonej twarzy pysk.

– Jak się macie gołąbki?... Wybrali się na gruchanie, kiedy teraz wojna.

Klaudyusz porywczym gestem usunął z drogi natręta, który chwiejąc się na nogach wrzeszczał dalej:

– Wielcy państwo!... Cacane lalusie. W krzaczki sobie chodzą...

Marion pobladła.

– Widzisz, że zwracamy uwagę na siebie.

– Automobil czeka.

Był na tyle ostrożny, że kazał szoferowi czekać. Pomógł wsiąść Marion, rzucił adres: „ulica des Ombies, Batignolles", poczem siadłszy obok swej towarzyszki, usiłował zbliżyć swe usta do jej warg.

Ale ona odsuwała się, powtarzając:

– Nie! nie! ach nie!

Zakrywała twarz rękami, jak dziecko.

– To źle, to bardzo źle... – powtarzała napwół z płaczem.

– Ty mnie nie kochasz!

– Kocham... ale nie żądaj teraz, później... innym razem...

– Kapryśnica!

– Mnie się zdaje ciągle, że Ksawery nas ściga, że wybucha strasznym, sprawiedliwym gniewem. Och! Klaudyuszu, błagam cię... pozostańmy przyjaciółmi, tylko przyjaciółmi!

– To niepodobna, Marion! My możemy albo kochać się całą naszą istotą, albo nienawidzieć się!...

– Inny mógłby mówić w ten sposób! Ale nie ty! nie ty! Ty o tyle przewyższasz innych.

– Niestety! jestem zakochany jak każdy inny. Chcę posiadać wszystko, rozumiesz, wszystko! i to nie jutro, ale dzisiaj jeszcze!

Usiłował zdobyć nad nią taką władzę, jaką miał nad swymi chorymi. I silna wola zdawała się odnosić zwycięstwo.

Marion przygarnęła się całem ciałem do Klaudyusza, ale zaraz zaczęła płakać i skarżyć się, jakby ta pierwsza pieszczota sprawiła jej ból niewymowny.

Klaudyusz rozdrażniony zrozumiał, że na tę kobietę trzeba podziałać jeszcze inaczej.

Automobil zbliżał się do placu Clichy. Doktor Etiennant rozkazał szoferowi zatrzymać się.

– Marion, to niema sensu. Wysiądź, jeżeli taką jest twoja wola. Ale oczekuję na ciebie jutro, ulica des Ombies l. 4, o godzinie czwartej. To jest mały, cichy dom. Zadzwonisz. Otworzę ci ja sam. Jeżeli nie przyjdziesz, to zaręczam ci słowem honoru, że widzimy się poraz ostatni.

Marion wydała okrzyk radości. Nie śmiała przypuszczać, że on ustąpi. Jak ptak więziony, któremu otwarto klatkę, umknęła zwinna i lekka, pozostawiając mu delikatną woń fijołków.

Doktór powziął silne postanowienie. Czuł, że zwycięży i to poczucie odmładzało go, ożywiało, zmieniało sposób jego zachowania.

Ta metamorfoza nie uszła czujnego oka Ginetty. Tego wieczora Klaudyusz podczas obiadu okazywał niezwykle dobry humor w przeciwieństwie do kilku dni poprzednich, kiedyto przychodził do stołu zirytowany i zachmurzony.

Przekomarzał się z córką i z żoną, dolewał im ustawicznie wina do kieliszków i opowiadał mnóstwo historyjek o szpitalu i swoich pacyentach.

– Dzieje się coś, o czem ja nie wiem – skombinowała Ginetta – ale będę wiedziała!

W przedpokoju zadźwięczał dzwonek.

– To Franciszek – zawołała radośnie Janka – pewnie ze swoją mamą.

Młodzieniec wbrew przypuszczeniu narzeczonej przyszedł sam bez matki.

– A pańska mama? – zapytała Ginetta. – Spodziewałam się jej.

– Proszę mamę mieć za usprawiedliwioną. Głowa ją boli. Zmęczyła się bardzo dzisiaj, bo miała dużo do załatwienia na mieście.

Młodzi narzeczeni przeszli do przyległego saloniku. Skoro zniknęli za drzwiami Ginetta zauważyła:

– Ten ból głowy, te liczne zajęcia na mieście... Marion musi mieć jakiś stosunek miłosny.

Doktór, naśladując ton swojej brzydkiej żony, odparł:

– Być może Grantouvre?

– On jest już zbyt stary, aby mógł wystarczyć osobie, która posiada jeszcze tak piękne „resztki" urody.

– Sądzisz więc, że ona dzieli swe względy?

– Bardzo możliwe... mimo miny niewiniątka. Nie przysięgłabym, że mały Palaiseau, lub sam Hottelet, albo też ten osioł de Torve.

– No, moja droga, chyba nie wszyscy razem...

Ginetta zachichotała po swojemu i tonem wyższości odparła:

– A dlaczegóżby nie? Nie znasz, jak widzę tego typu kobiet, do którego należy Marion.

Ginetta przysunęła się do męża i pocałowała go w szyję, dotykając przytem jego podbródka swoim garbatym nosem.

Klaudyusz zdobył się na tyle siły i odwagi, że oddał jej ten pocałunek...

– – – – – – – – – – – – – – – –

Marion w południe jeszcze była zdecydowaną nie iść na schadzkę i przerwać w ten sposób radykalnie zgubny stosunek. Układała sobie przez cały dzień co robić będzie. Miała oddać kilka wizyt, załatwić cały szereg sprawunków. I ku wielkiemu swemu zdziwieniu czuła, że jest jej na sercu lekko i spokojnie.

Pogoda była śliczna, błękitna i złota.

Marion cieszyła się wiosną i przeświadczeniem, że uniknęła wielkiego niebezpieczeństwa. Nie skrzywdzi już Ginetty, nie stanie na przeszkodzie zaręczynom Franciszka, będzie mogła z czystem sumieniem ucałować Jankę.

Zaledwie jednak znalazła się na ulicy pierzchnął też nastrój spokoju i zadowolenia ze siebie. Złośliwy chochlik zetknął ją na ulicy de Rennes oko w oko z ową małą blondynką, pacyentką Klaudyusza, którą to, wedle słów Ginetty, bada on dokładnie, bardzo dokładnie.

Marion przejrzała się w lustrze. Skonstatowała, że jest blada z gniewu, ale stokroć ładniejsza, aniżeli tamta. I jednocześnie zrozumiała, że nic jej nie pomogą najpiękniejsze postanowienia, bo o godzinie czwartej będzie na ulicy des Ombres...

Klaudyusz już kilka miesięcy temu zwrócił uwagę na tę cichą, dyskretną uliczkę, jakby wyrwaną z prowincyonalnego miasta. Kiedy szukał schronienia dla swojej miłości, przypomniał sobie pewien mały domek na ulicy des Ombres. Wynajął go z całem umeblowaniem pod zmyślonem nazwiskiem i umieścił tam starą sługę oddaną sobie kompletnie.

Teraz, siedząc w fotelu, Klaudyusz czekał na swoją ukochaną i dumał:

– Oto rozpocząłem życie kłamstwa i obłudy. Będę musiał oszukiwać Ginettę, Jankę, moich uczniów, moich chorych, przyjaciół, społeczeństwo, nawet samą Marion... Skończyło się ze szczerością, ze spokojem sumienia. Ustawiczne zaniepokojenie będzie moim udziałem. Ilekroć ktoś zadzwoni niespodzianie, ilekroć moja żona wejdzie do pokoju z zachmurzoną twarzą, zadrżę.. Na szczęście mam zdrowe serce i nerwy!

Spojżał na zegarek. Wpół do czwartej.

Klaudyusz przyniósł sobie do czytania „Sztukę kochania" Owidyusza i jakąś swywolną powieść bogato ilustrowaną. Zdawał sobie sprawę z tego, że taki wybór dzieł był trochę śmieszny, błazeński, ale ostatecznie nie był już młodym, a brakowało mu doświadczenia. Nie mógł się jednakowoż skarżyć na brak sposobności w życiu. W wyobraźni przesuwały mu się wszystkie twarze kobiece, które go zachęcały i ośmielały spojrzeniem i uśmiechem. Modny lekarz, przystojny mężczyzna, gdyby tylko zechciał schylić się, mógłby wybierać pośród najpiękniejszych kwiatów.

Ileż to razy wyraz ironicznego zdziwienia malował się w rysach twarzy niewieściej, ilekroć on udawał, że nie rozumie...

W samym szpitalu było tyle okazyi. Doktorki, pielęgniarki, medyczki, pacyentki... Kilka zakochało się nawet poważnie. Ale doktór swoim chłodem mroził wszystkie nadzieje, tak bardzo obawiał się fałszywej sytuacyi, podejrzliwości żony, możliwych scen skandalu.

Kiedy człowiek ma lat trzydzieścikilka i jest zdrowy jak rydz, nie przychodzi mu do głowy, że kiedyś będzie miał lat pięćdziesiąt...

Czwarta minut dziesięć... Marion spóźniała się. Klaudyusz zdenerwowany nie rozumiał już ani słowa z tego, co czytał. Ogarniało go niepohamowana tęsknota za tą śliczną, zwinną, pachnącą osóbką.

A gdyby tak skrupuły, czy obawy zwyciężyły i ona nie przyjdzie. Jeżeli ją natarczywość odstraszyła ją..

To przypuszczenie drażniło go, denerwowało w najwyższym stopniu.

Wytężał słuch, pochwytując najmniejszy szelest na ulicy. Panował nad sobą, aby nie otworzyć okna i nie wyglądać przez nie niby mały chłopak, oczekujący upragnionego towarzysza zabawy.

Odnajdywał w sobie ze zdumieniem ten żar miłosny, o którym sądził, że go przygasiły lata.

Trzy kwadranse na piątą. Klaudyusz zaczynał wchodzić w sferę przesądów.

– Otwieram ten tom na chybił trafił. Jeżeli pierwsza litera na pierwszej stronicy jest samogłoską, to Marion przyjdzie, jeżeli spółgłoską, to nie.

Była to spółgłoska. Jeszcze raz otworzył książkę.

Zawstydził się sam przed sobą tego chłopięcego postępowania. Na Boga! przecież nie jest osiemnastoletnim gimnazyalistą, który czeka na pierwszą w życiu kobietę.

On, dojrzały mężczyzna z siwiejącą głową, ojciec dorosłej córki i stary lekarz...

A jednak miłość widocznie nie starzeje się i starzy umieją taksamo szaleć jak młodzi.

Kwadrans po piątej!.. Takie spóźnienie!.. Ależ ona chyba nie przyjdzie...

Podejrzenia dręczące jęły się zakradać do mózgu Klaudyusza. Może ona tylko drwiła sobie z niego, może to była wyrafinowana zalotność zimnej kokietki... może Marion nie kocha go wcale...

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Uroczystości Kościuszkowskie w kraju.

Z gorącem sercem podjętą została myśl uczczenia wielkiego bojownika o wolność Polski. Z całego kraju dochodzą nas wiadomości o wielkich obchodach zorganizowanych z ochoczą i radosną myślą.

Uroczystość Kościuszkowska w Tarnowie zaczęła się o godzinie 10 rano nabożeństwem w kościele OO. Misyonarzy, w którem wziął udział razem z przedstawicielami władz cywilnych korpus oficerski, z generałem Szamotą na czele.

Po wzniosłem kazaniu ks. Gaworzewskiego przemówił do uszykowanych przed kościołem żołnierzy, gen. Szamota — a następnie poseł na Sejm walny Witos Defiladą wojska zakończono przedpołudniową uroczystość.

Po południu odbył się wieczorek muzykalno-wokalny w sali „Sokoła".



**Uroczystości Kościuszkowskie w kraju**: Weterani z roku 1863 w pochodzie uroczystym w Tarnowie.

## Kadry akademickie pod Lwowem.

Powstanie Polski zorganizowało wszystkich, co czuli gorąco i szczerem sercem konieczność obrony granic pod jednem hasłem poświęcenia wszystkiego dla Ojczyzny. Młodzież uniwersytecka, która wśród zawsze rozpruszonych prądów, nurtujących w kole starszego społeczeństwa, zróżniczkowanych myśli skłaniających się nawet do ugody, często na platformie skrajnego kompromisu opartej, zachowała zawsze trzeźwy i zdrowy pogląd na bieg rzeczy idący drogą i najbardziej problematyczn ch wyników — z żywą i serdeczną ochotą stanęła pod sztandarami zgody i jedności wobec grozy położenia. Ustąpiły wszelkie waśnie, porzucono wtedy różnice polityczne, mimo początkowych kilku cieni, jakie na ten lub ów wysiłek upadły. Stworzono specyalne kadry i to może było powodem licznych zarzutów, jakie w krótkim czasie pojawiły się. A jednak kadry te zasiliły dość poważnie nasz front bojowy. Ciężką i żmudną służbę wartowniczą pełniła kompania stacyjna, ale o tem się nie mówi. Mówić jednak wolno i powinno się o trzech pociągach pancernych stojących w ogniu pod Lwowem. Niedawno podaliśmy kilka illustracyi ze „Śmiałego" dzisiaj umieszczamy niektóre epizody ze „Smoka".



**Uroczystości Kościuszkowskie w kraju**: Przemowa generała Szamoty na uroczystości tarnowskiej.



**Amunicya dla Polski**. Trzej podoficerowie angielscy, którzy eskortują pociągi z Wiednia.

Życie tam pełne dobrej myśli nie gasnącej nigdy nawet wobec poważnego niebezpieczeństwa; werwy się tutaj nigdy nie traci, owszem najczęściej swobodnie i ochoczo. W chwili służby uwaga skupiona około nieprzyjaciela, w spoczynku, w mieście około wyładowania całej energii zdrowych sił.

A jednak czasem trudno naprawdę o spokojny nastrój. Ostatnie walki osaczające Lwów wprowadziły i pancernicze kompanie akademickie w bój o życie lub śmierć. Tak było pod Gródkiem Jagiellońskim, gdzie, wobec silnego, kilkakroć przeważającego wroga stała zaledwie garstka.



**Uroczystości Kościuszkowskie w kraju**: Poseł Witos przemawia na uroczystości w Tarnowie.

# Kronika tygodniowa.

Rok temu, stając przed P. T. Czytelnikami, by się z nimi podzielić święconem jajkiem, wyraził kronikarz nadzieję, że to może przecież już ostatnie wojenne święta, a następne przyjdzie nam obchodzić w innych, pomyślniejszych warunkach.

I jak dziś widzi, bynajmniej się nie pomylił.

Były to w samej rzeczy ostatnie święta Wielkiejnocy w czasie wojny światowej, ale nie przypuszczał nawet, że warunki tak się zmienią, iż dziś stanie przed ogółem swych Przyjaciół, ale z próżnemi rękami i, co najwyżej, tylko z widelcem w ręku gdyż na jajko świętalne nie mógłby sobie pozwolić ze względu na zupełny brak tego artykułu, dostępnego jedynie dla milionerów paskarzy, nie potrzebujących się liczyć z groszem. Dostarczycielka jaj, niewinna kura, choć latać nie umie, poszła dziś tak w górę, że kosztuje tyle, co przed wojną stróś, mogący nas zaopatrzyć nie tylko w jaja, ale i w pióra, służące do ozdoby damskich kapeluszy i pierogów c. k. urzędników. Nawet magistrackie sklepy, gdzie można się było od czasu do czasu zaopatrzyć w jaja (jeśli się miało naturalnie znajomość i protekcyę!) nie mają ich dziś zupełnie, całą winę spędzając na kury, z nieznanych bliżej przyczyn jaj znosić nie chcące, no i na paskarzy, którzy je wywożą za granicę, gdzie ma być daleko więcej amatorów jajecznicy, niż u nas.

Wobec tego musi kronikarz złożyć życzenia nie dzieląc się z nikim jajkiem, użyjmy więc wyrażenia na „sucho“.

I cóż ma życzyć?... Życzył w ubiegłym roku, by się wojna skończyła, gdyż myślał, że będzie lepiej, tymczasem widzi, że jest zupełnie przeciwnie. Z dnia na dzień staje się coraz gorzej, warunki życiowe stają się coraz nieznośniejsze, a ta pomoc, jaką nam obiecywała zagranica, ogranicza się prawie do zera. Dostało się wprawdzie trochę mąki, jeśli się miało szczęcie i amerykańskiego szmalcu, ale to jeszcze do życia nie wystarczy. Dalsza pomoc pozostaje nadal w sferze niezrealizowanych obietnic.

Można więc i powinno się dziś życzyć sobie wzajemnie tylko tyle, aby nasze warunki życiowe zmieniły się i to gruntownie, to jest na lepsze, byśmy mogli poczuć, że się wojna w samej rzeczy już skończyła, że nastaje ogólny spokój, który ma być dla nas początkiem nowego życia w zupełnie innych, niż dotąd warunkach. Bo, jeżeli tak dalej pójść miałoby, jak dotąd, to już chyba nie wytrzymamy dłużej, choć nauczyliśmy się obchodzić bez wszystkiego, co dawniej uważaliśmy za niezbędne do życia i zadawalamy się obietnicami.

Ubiegłe święta, czwarte z rzędu w wojennym czasie, były ciężkie, obecne, piąte z rzędu, a pierwsze tak zwane pokojowe, są jeszcze gorsze, zwłaszcza, że przychodzi je spędzić w niepewności, co też jutro przyniesie.

Od listopada począwszy słyszymy i czytamy ciągle, że Polska musi być silnem państwem, mającem dostęp do morza i mającem odtąd zająć rolę dawnej Rosyi, siedzącej Niemcom na karku, ale jakoś wszystko tak się składa, że ciężko się tego jakoś doczekać. Co chwila wyłażą na wierzch jakieś nowe „racye stanu“, dla ogółu niezbyt jasne i zrozumiałe. Do dnia dzisiejszego właściwie nie wiemy, komu zależy na tem, byśmy zajęli należne nam się słusznie miejsce wśród państw europejskich, a kto jest temu przeciwny. Jeśliby się bowiem chciało wyciągać jakieś wnioski z tego, co przynoszą nam codziennie pisma polityczne, to musi każdy przyznać, że jest niczem owa tabaka w rogu. Dziś się mówi i pisze tak, jutro zaś inaczej ba, nawet w jednym i tymsamym artykule czyta się na początku coś takiego, co do zakończenia ma się jak pięść do nosa, a konkluzya taka, że możemy się spodziewać, iż będzie tak, o ile naturalnie nie będzie inaczej, ale to się „na razie jeszcze“ nie da powiedzieć.

Wiemy tyle, że mieliśmy u siebie w gościnie niezwykłą moc różnych misyi i misyjek, że członkowie ich zapewniali i zapewniają nas stale o swej życzliwości, ale to bynajmniej nie wyklucza, że stać się z nami może bardzo łatwo tosamo, co z owym zającem, którego wśród serdecznych przyjaciół rozdarły psy na kawałki. A my przyjaciół mamy wielu, ale nie brak nam i psów, dybiących na naszą zagładę.

Na razie mamy bodaj granicę zachodnią i to nie całą, bo bez początku i końca a z rozmaitemi dziurami w samym środku. Reszta granic jest dopiero w robocie. Zdaje się, że co do wschodnich, to zastosowaną będzie teorya samostanowienia narodów o sobie, co się powinno w ten sposób tłumaczyć, że koalicya pozwoli nam ją sobie łaskawie wyznaczyć, o ile sąsiedzi nie będą nic mieli przeciw temu, a Paryż czego innego nie postanowi.

Niezależną i zjednoczoną Polskę mamy mieć z łaski koalicyi, a wiadomo chyba, że łaska pańska na pstrym koniu jeździ. Mieliśmy tego już liczne dowody i nowe zbieramy prawie codziennie.

Powiedziano nam swojego czasu, że musimy mieć dostęp do morza, a każdy był pewny, że w takim razie nie gdzieindziej, tylko w okolicy Gdańska, który niegdyś do Polski należał. Tegosamego zdania byli początkowo i członkowie paryskiej konferencyi pokojowej, przyznający nam w tym kierunku zupełną racyę i słuszne prawa do tego miasta. Ale tymczasem zawiał zupełnie inny wiatr tym razem od strony Berlina przez Londyn i koalicya doszła nagle do przekonania, że ta sprawa nie da się załatwić tak na gorąco, ale trzeba jej pozwolić się odleżeć, a do tego celu nadaje się zupełnie dobrze Liga narodów, której wprawdzie jeszcze niema, ale będzie. I jej to odda się do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawę Gdańska, Prus i pono Śląska cieszyńskiego.

W Niemców wstąpił nowy duch, gdy poczuli, że koalicya idzie im widocznie na rękę, że więc Gdańsk nie jest dla nich stracony, bo jeśli ta sprawa otrzymuje, mówiąc językiem austryackich biurokratów, takiego „szybera“, równa się to odłożeniu jej *ad calendas graecas*. Dali też zaraz tego dowód, nie zgadzając się na konferencyi w Spaa na lądowanie wojsk Hallera w Gdańsku, by to przypadkiem nie stanowiło na przyszłość dla Polaków precedensu, że Gdańsk może jest polski, oświadczyli natomiast zupełną gotowość przewiezienia ich „dla pospiechu“ drogą lądową przez Niemcy, przyznając się równocześnie, że nie rozporządzają w tym celu potrzebną liczbą lokomotyw i wagonów kolejowych. Marszałek Foch zgodził się na to imieniem koalicyi, wychodząc z założenia, że wszyscy interesowani wyjdą na tem jak najlepiej, a Haller, wcześniej czy później, znajdzie się przecież w Polsce, do której jakoś w żaden sposób dojechać nie może.

Akcye niemieckie na politycznej giełdzie paryskiej poszły w ostatnich czasach stanowczo w górę, a to dzięki głównie zupełnie otwartemu poparciu Anglików, krzyczących wprawdzie na cały głos, że muszą zetrzeć łeb krzyżackiej hydrze, ale postępujących zupełnie inaczej, tak, jak tego ich własny interes wymaga, boć ta wojna była prowadzoną w obronie cywilizacyi, a cywilizacya, to dziś interes. Zresztą Niemcy oświadczyli, że przyparci zbyt do muru chwycą się ostatniej deski ratunku, tą jest otwarty zupełnie sojusz z rosyjskimi bolszewikami. A tego widocznie boi się koalicya i dlatego nie chce zbyt przeciągać struny, by przypadkiem nie pękła.

Swoją drogą w załatwieniu sprawy polsko-niemieckiej koalicya postąpiła sobie bardzo politycznie, obiecując dużo jednej i drugiej stronie i pokazując obu z daleka Ligę narodów, która, oby dla nas nie zmieniła się przypadkowo we... figę.

Pesymiści, których coraz więcej między nami powiadają zupełnie otwarcie, że z Gdańskiem powinniśmy się raz na zawsze pożegnać, a to, co nam piszą, że nawet gdańscy Niemcy nie oponują przeciw połączeniu tego miasta z Polską, to są artykuły inspirowane, mające za zadanie uspokoić opinię polską i uwolnić koalicyę od ciągłych nagabywań z naszej strony: a co też będzie z nami?

Także i Górny Śląsk nie jest taki pewny, jakby się może zdawało. Niemcy nie myślą wypuścić go ze swych rąk, a i Czesi mają pretensyę bodajby choć do kawałka, choć jeszcze nie postanowili ostatecznie, który jest „rdzennie czeski“ W danym wypadku i tę sprawę będzie można oddać światłemu rozpatrzeniu Ligi narodów. Bodaj na razie będzie koalicya mieć spokój.

Jednem słowem, można powiedzieć zupełnie otwarcie, że stosunek nasz do Niemców jest, jak dotąd przynajmniej, niewyklarowany i że właściwie niema wcale granicy między nimi a nami, choć swojego czasu ogłosiły ją oficyalnie pisma francuskie, a za niemi powtórzył tosamo i kronikarz. Kwestya rozstrzygnięcia różnych niejasnych punktów przez Ligę narodów wyłoniła się dopiero później.

Ale, jeżeli można wierzyć zapewnieniom prasy francuskiej, preliminarya pokojowe z Niemcami mają być ogłoszone jeszcze przed świętami, a przybycie delegatów niemieckich do Wersalu oczekiwane jest już około 15 kwietnia, o ile naturalnie nic nie stanie na przeszkodzie. Ponieważ, ogłaszając warunki pokojowe, będzie koalicya musiała wyznaczyć także i granice przyszłego państwa niemieckiego, być może i my dowiemy się z tego, co nas czeka, co możemy uważać za swoje, a z czem odesłani zostaniemy do Ligi narodów, która ma zastąpić wieżę Babel, lub austryacki były parlament, taka w niej zapanuje różnojęzyczność, a zapewne i rozmaitość zdań i zapatrywań.

W każdym razie stwierdzić się musi, że zwłaszcza w kwestyi Gdańska i Prus zapanował u nas ogólny pesymizm, znajdujący echo i w naszej prasie, odzywającej się w tej sprawie wprawdzie w różny sposób, w konsekwencyi przecież zgadzającej się na to, że powinno się być przygotowanym na niespodzianki.

„Głos narodu“ nawymyślał Anglikom z powodu sprawy gdańskiej, a to oburzyło „Naprzód“, jak wiadomo nikomu i nigdy nie urągający. Nic też dziwnego, że w jednym z ostatnich numerów, w artykule wstępnym dał „Głosowi“ naukę politycznej uprzejmości i grzeczności, zapewniając, że tego rodzaju wystąpienie może nam w oczach Anglików tylko zaszkodzić, choć przyznaje, że Anglia nigdy nie kierowała się wobec nikogo jakiemiś sentymentami, a jedyną racyą stanu był dla niej zawsze tylko interes. Te zapatrywania podziela także i kronikarz i jest najmocniej przekonany, że synowie Albionu nie życzą sobie bynajmniej nowych konkurentów na Bałtyku w osobie Polaków.

To jedno jest pewnem, że Niemcy pożegnają się raz na zawsze ze swemi koloniami zamorskiemi, z których lwią część zatrzyma dla siebie Anglia, resztę zaś rozdzieli między swych sojuszników, do których i my przecież należymy. I, kto wie, czy nie spełnią się marzenia ks. Okonia, którym dał wyraz w Sejmie warszawskim, że, jako rekompesatę za Gdańsk, otrzymamy jakiś ogryzek, dajmy na to, byłego niemieckiego terytoryum w Afryce południowej. Trudno nam będzie się tam wprawdzie dostać, nie mając dostępu do morza, ale od czegóż żegluga napowietrzna?... Dla naszych pań, które przed wojną tak gorliwie zajmowały się losem opuszczonych dzieci murzyńskich, zapominając o krajowych „białych murzynach“, otworzy się nowe pole do rozwinięcia ich błogosławionej działalności.

Jak będzie, co będzie, to najbliższa przyszłość pokaże i dałby Bóg, aby wszystko wypadło po naszej myśli! Byłby to dla nas najpiękniejszy podarunek świętalny. Nasz premier, Paderewski, wyjechał podobno w tym celu do Francyi, aby naprawić złe, o ile jeszcze czas jest na to, konferuje też bardzo pilnie z najwybitniejszymi przedstawicielami koalicyi.

I z Czechami nie jest także wszystko w porządku. Na punkcie Śląska cieszyńskiego panuje między nimi a nami różnica zdań, a na czyją stronę padnie rozstrzygnięcie koalicyi, tego nikt nie wie. Jedni z polityków są zdania, że koalicya uzna nasze słuszne prawa do tej dzielnicy, inni twierdzą, że nie będzie miała na tyle siły, aby odmówić racyi Czechom, nie brak także i takich, którzy już dziś są pewni, że Śląsk będzie państwem neutralnem, aby nie stała się krzywda ani Polakom, ani Czechom, lub też sprawa Śląska odesłaną zostanie... do Ligi narodów, co może być czasem uważane za zupełnie równorzędne z przekazaniem czegoś komisyi, co się równa pogrzebaniu raz na zawsze. O Śląsku cieszyńskim czyta się przynajmniej i mówi bardzo wiele, o Spiszu natomiast i Orawie jakoś głucho. Tej sprawy nikt nie odsyła nawet do Ligi narodów. Ale jej tyle już najrozmaitszych kwestyi przeznaczono do rozpatrzenia, że długo i pilnie będzie musiała urzędować, by się w bieżącem jeszcze stuleciu módz ze wszystkiem załatwić.

Na razie zachowują się Czesi wobec nas z prawdziwą sąsiedzką życzliwością, czego dali dowód, ogłaszając rozporządzenie, że poddani polscy, zajęci w Czechach przy robotach rolnych, oraz Polacy z Królestwa, internowani swojego czasu przez Austryaków w różnych miastach czeskich, mają być natychmiast odstawieni do osławionych obozów koncentracyjnych w Chocenin i Pardubicach, skąd odesłani będą do ojczyzny.

Jakże inaczej postępują sobie nasze władze wobec Czechów, których tyle jeszcze w Polsce pozostało. Widocznie jest im tu dobrze, skoro się nie myślą stąd ruszyć, a, jeśli członków misyi zagranicznych molestują od czasu do czasu memoryałami, jak po barbarzyńsku obchodzą się z nimi Polacy, to tylko dlatego, aby dać światu znak życia o sobie.

I dalszy więc ciąg granicy państwa polskiego, o ile stykamy się tutaj z Czechami, właściwie nie istnieje, wyznaczy ją zaś, choć niewiadomo kiedy, koalicya, ewentualnie jej ekspozytura, Liga narodów.

Czy do owej Ligi nie odeślą nas też z ostatecznem załatwieniem kwestyi zachodnio ukraińskiej tego także nikt przewidzieć nie może. Pan dyrektor Petlura dał wprawdzie nura ze Stanisławowa do Płoskirowa, pan komendant Pawlenko, poddając się zarządzeniom koalicyi oświadczył podobno gotowość zawarcia rozejmu z Polakami, ale jakoś go w żaden sposób nie można było podpisać. Raz brakło pióra i atramentu, raz znów dobrej woli, potem jeszcze czego innego, a Ukraińcy tymczasem ostrzeliwali i ostrzeliwują ciągle Lwów, nie przepuszczając nawet szpitalowi w Kulparkowie.

Czy i z załatwieniem kwestyi polsko ukraińskiej nie odeśle nas koalicya do Ligi narodów?... Bardzo być może, że się tak stanie, ale trzeba pamiętać, że Rusin jest z natury uparty i skoro nie usłuchał koalicyi, nie usłucha i Ligi, zwłaszcza mając piękny przykład na swym przyjacielu, Czechu, że można sobie nic nie robić z wszelkich rozkazów i poleceń, boć każdy naród ma prawo samostanowienia o swym losie, choćby tylko w myśl zasady, głoszonej przez koalicyę.

## Lloyd George i my.

Sprawa Gdańska będąca już u progu rozwiązania niestety spotkała się w decydującej chwili z silną opozycyą — Lloyd Georgea, wywołując u nas wielkie oburzenie i nieprzychylny nastrój wobec reprezentanta Anglii. Ale cóż pomoże nasze oburzenie, jeżeli zasłania je jeszcze szerokiemi plecami nasz sąsiad z za ściany — Niemiec. I rzecz dziwna, gdy wczoraj byliśmy najmocniej przekonani, że Anglia współzawodnicząc z Niemcami o hegemonię morską, temsamem będzie przedstawiała skrajną lewicę na konferencyi pokojowej wobec jak najmniejszych pretensyi któregokolwiek państwa skierowanej ku ugodzie z Niemcami, dziś przekonywujemy się z rozczarowaniem, że wszystko było jedynie bezwartościowym strzępem wobec małej cywilnej odwagi Lloyd George'a. Tak jest — „wobec małej cywilnej odwagi" — i dobrego serca premiera angielskiego — to trzeba dodać. Bo dziś idea ratowania zapomnianej wolności narodów i rekompensaty za krzywdę dziesiątek lat — powstała na gruzach imperyalistycznej polityki Niemiec, szerokim gestem musi być usunięta wobec wysokich celów pana premiera.

Ale i Lloyd George powinien dobrze rozważyć kwestyę zasadniczą, że jeżeli Polska dzisiaj zasłania Europę przed widmem bolszewizmu, będzie zasłaniała i jutro, gdy jednak polityka premiera angielskiego zdusi nasze życie w ciasnych ramach ślimaczego bytowania, pchnie na naszą ziemię wojska rosyjskie, a wtedy i Wielka Brytania, jako rynek przemysłu w szerokim stylu, może stać się podatnym gruntem pod przyszłe związki komunistyczne, dzięki opadnięciu zaporowego muru, jaki w obecnej chwili stanowi Polska.



Organizatorzy polskiej marynarki: Grupa oddziału kadrowego polskiej marynarki

## Organizatorzy polskiej marynarki.

Po całej Polsce rozbrzmiewa dzisiaj żądanie, że Gdańsk ma się stać portem przyszłej wielkiej zjednoczonej Polski. W prasie francuskiej podnoszone jest życzenie, aby część floty niemieckiej, która znajduje się w rękach koalicyi została przyznana Polsce, aby w ten sposób stworzyć podwaliny pod polską potęgę morską. Nie ulega kwestyi, że oddanie Gdańska Polsce stworzyłoby pole rozwojowi polskiej żeglugi i że w tem właśnie leżeć winna przyszłość naszego handlu i przemysłu.

Aby jednak odpowiednio przygotować się do roli, jaką nam wypadki przeznaczyć mogą, potrzeba pomyśleć o stworzeniu u nas zastępu dzielnych i wyszkolonych marynarzy, którzyby stanowili kadry przyszłej polskiej marynarki. Materyału w ludziach posiadamy pod dostatkiem, gdyż Polacy służyli za równo w marynarce austryackiej, jak i niemieckiej i rosyjskiej. Na razie akcya marynarki polskiej ograniczyć się musi do dostarczenia wyrobionych ludzi do utrzymania żeglugi na Wiśle, ale w przyszłości praca ta rozwinie się na szerszą skalę.

Pierwsze kadry przyszłej polskiej marynarki formują się obecnie w Dęblinie. Tam powstała instrukcyjna szkoła dla marynarzy i tam gromadzą się ci, którzy do przyszłej załogi floty polskiej pragną należeć.

## Francuzi w obronie Polski.

Na konferencyi pokojowej rola obrony interesów Polski przypadła Francyi, wypełniającej w ten sposób program, który nam przedstawił Napoleon i za cenę którego złożyliśmy znaczny podatek krwi, niestety nieowocny. Czego jednak genialny wódz nie chciał dotrzymać, to postanowili w czyn wprowadzić Clemenceau, Pichon i Foch, stając się głównymi rzecznikami naszych słusznych żądań, a z drugiej strony dobrze rozumiejąc grozę położenia, powstającą z chwilą załamania się najżywotniejszych kwestyi naszych. O ile Clemenceau i Pichon postawili naszą sprawę na stanowisku ogólnej sprawy równowagi Europy, Foch stanął twardo w obronie Gdańska, domagając się przyznania go Polsce.

## Żywy pomnik dla Polski.

W obecnym roku dla upamiętnienia wolności i zjednoczenia Polski po latach niewoli i wojny zainicyował Związek Przyjaciół drzewek w Krakowie zasadzenie na wszystkich obszarach drogiej Ojczyzny, mili n drzewek, jako żywego pomnika dla Polski.

Myśl ta przyjęła się; ze wszystkich stron napływają wiadomości o przygotowaniach i pracy w tym kierunku, zakłady sadownicze nie mogą podołać zamówieniom na drzewka już teraz z wiosną, dlatego reszta akcyi w tym kierunku odbędzie się w jesieni i na przyszłość. Milionowe drzewko ma otrzymać zaszczytną nazwę, a jego fundator nagrodę. Związek Przyjaciół drzewek, Kraków, Długa 11. robi zestawienia.

Na rycinie naszej widzimy członków Związku Przyjaciół drzewek, oraz zaproszoną młodzież z p. prezesem Stanisławem Sycem na czele przy pracy zasadzania drzewek w alei T. Kościuszki pod Kopcem, gdzie bezmyślne wojska austryackie wycięły cały szereg przepięknych drzew. Związek Przyjaciół drzewek za zgodą Komitetu obchodu 125 letniej rocznicy Powstania Kościuszkowskiego powziął myśl wysadzenia Alei, co też uskutecznił w piękny, wiosenny dzień, w rocznicę szeregu bitew pod wodzą Naczelnika.

Dzielna młodzież, przeważnie szkoły im. J. Kochanowskiego, uchwyciła ochoczo za narzędzia, wykopywała dołki i zasadzała drzewka z radością w sercu i miłością dla bohatera, ubiegając się o zaszczyt współudziału w tej pracy, jak czynili to niegdyś najlepsi synowie Ojczyzny, gdy sypali wiekopomną mogiłę, Kopiec Kościuszki.

## Ze sceny krakowskiej.

Operetka w krakowskim Teatrze Powszechnym wy obiła sobie już zasłużone uznanie. W obecnej chwili stała się ona ostoją dla całego szeregu artystów, którzy trudnościami wojennemi wydaleni ze swych siedzib szukać muszą stanowiska. W umiejętnych rękach dyr. Lelewicza operetka krakowska wyrobiła się znacznie, dając zespół poważny i artystycznie zgrany.



Ze sceny krakowskiej: Tenor operetki p. Henryk Miller.

Na czoło ensemblu wysuwa się tenor operetki p. Henryk Miller. Znany on bywalcom teatru krakowskiego — znany i lubiany. Należy do popularnych w Krakowie postaci świata aktorskiego. Występy jego cieszą się wielkiem powodzeniem. Do ostatnich ze wszech miar udałych należy kreacya jego w „Dzwonach z Corneville", której podobiznę w numerze zamieszczamy.

## Amunicya dla Polski.

Dzięki pomocy udzielonej nam ze strony koalicyi od szeregu tygodni zaczyna napływać do Polski amunicya i zaopatrzenie wojskowe. Transporty te przychodzą różnymi drogami, zazwyczaj pod eskortą oficerów i żołnierzy koalicyjnych. Nawet w czasie walk z Czechami od strony Wiednia nadchodziły takie transporty pod baczną opieką Anglików.

Niejeden z tych transportów zanim dostał się do Polski, przechodził nieraz bardzo ciekawe koleje i musiał być formalnie broniony przed zachłannością różnych naszych sąsiadów. Ale ostatecznie docierają one do Polski i stanowią poważną pomoc w trudnem naszem położeniu.

# Zagadki do nagrody.

**Zadanie do uzupełnienia.**
Ułożyła Teklusia z Krakowa.

Przez odpowiednie dodanie spółgłosek utworzyć znane polskie przysłowie:

1) - - a - o - - - ie - a - o - - l
2) - - e - - - a - a - o - a - a, - e - - a - a.
3) - a - - - o - o - e, - a - o - - e.

**Grzebieniówka.**
Ułożył Jaś z pod Gewontu.

W miejsce kwadratów i kresek wstawić litery, aby w rzędach pionowych powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd poziomy utworzy imię i nazwisko osobistości rządzącej dziś całym światem.

■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■ ■
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —
— — — — — — —

*Znaczenie wyrazów:* 1) Imię żeńskie. 2) Góry w Grecyi. 3) Koń. 4) Wzgorze w Krakowie. 5) Wyrażenie religijne. 6) Zioło lekarskie. 7) Miasto w Polsce.

**Łamigłówka.**
Ułożyli Staś i Rózia z Krakowa.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą trzy wyrazy, będące obecnie na ustach całej Polski.

Ba —
ca —
l — n
— an
— an
Ja —
ca —
b — k
— os
— os.
Le —
mi —
k — t
— ar
— ra.

**Zadanie do przestawienia.**
Ułożył Stefan K. z Jordanowa.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
W lewe stado rublał G.

**Zadanie do przestawienia.**
Ułożył Jaś z pod Gewontu.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:
Rokoko, proc, r.

**Zadanie na rozsypane litery.**
Ułożył X. Y. Kraków.

Z podanych liter ułożyć ważne zdarzenie z przed lat stu dwudziestu pięciu.

a, a, a, c, d, e, ę, g, i, i, i, k, k, o, p, r, s, s, s, ś, t, u, u, y, z, z, z.

**Zagadka na czasie.**
Ułożył Henio z Dajworu.

Albo człowiek, albo ryba...
Niech nikogo strach nie zdejmie!
Łatwo go też każdy chyba
Znajdzie w rzece, albo w Sejmie!
A ten z wody, gdy smażony,
Bodaj miłym smakiem nęci,
Drugi, wciąż zacietrzewiony,
Tylko chłopom we łbach kręci!

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redekcya jako nagrodę trzy kilo białej mąki amerykańskiej.

## Rozwiązanie zagadek z Nru 14.

**Równanie.** **Kokarda** + korzonki = **Korzon.** **Tabaka** + **deportacya** + Tymot**eusz** = **Tadeusz.**

**Trój kąt magiczny.** **Kochanowski** Ortografia Crebillon **H**istorya Arueny **Nizina** **Orkan** **Walc** **Sól** **Koń** **I.**

**Zadanie do uzupełnienia.** Syn Ewa Jan **Men** **Koń** **Osa** **Nos** **San** **Ton** **Yen** **Tur** **Uri** **Car** **Yak** **Jeż** **Noc** **Ybs.**

**Zadanie do uzupełnienia.** 1) Na pochyłe drzewo kozy skaczą. 2) Pokorne cielę ssie dwie krowy.

**Zadanie do przestawienia.** Każde liszka swój ogonek chwali.

**Bilety wizytowe.** Ekspres. Akuszerka. Portyer. Konduktor. Mostowy.

**Dobre rozwiązania nadesłali:** W. Schmidt, Nowy Sącz, J. Zieliński, Wadowice, Z. Walkowski, Tarnów, M. Bernatowicz, Kraków, J. Nowacki. Przemyśl, J Raszka, Kraków, A. Skracki, Oświęcim, M. Golz, Kraków, H. Kwieciński, Kraków, Z. Gal, Rozwadów, M. Osadziński, Tarnów, W. Rogalski, Jasło, H. Roseubaum, Tarnów, S. Malinowski, Kraków, M. Kruk, Rzeszów, Z. Serczyk, Tarnów, J. Gawęda, Kraków, M. Hild, Przemyśl, I. Krzyżanowski, Warszawa, M. Aronsohn, Kraków, J. Szczudło, Lublin, W. Grabowski. Tarnów, J. Gdula, Piotrków, M. Sikorska, Kraków, J. Gołkowski, Bochnia, M. Lewicka, Kraków, Z. Wnek, Rzeszów, H. Broga, Częstochowa, J. Radoń, Kraków, H. Wisłocka, Warszawa, M. Stanisławczyk, Kraków, W. Borkowski, Brzesko. F. Rożkiewicz. Jarosław, M. Bilińska, Kraków, L. Steigler, Kraków, H. Kuntz, Kraków, F. Wesołowski, Lwów, W Dworak, Kraków, J. Sandberg. Kraków, N. Glicówna, Kraków, Cz. Kozłowski, Piotrków, B. Bariuk, Lwów.

Nagrodę przez losowanie otrzymała **N. Glicówna, Kraków.**



Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St Lipińskiego. Odpow redaktor: M Lipińska. Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie pod zarządem Pawła Madejskiego.